Filozofia Nauki
Rok VI, 1999, Nr 1–2 (25–26)

RECENZJE

Elżbieta Kałuszyńska

Pytania do konstruktywisty

Andrzej Zybertowicz, *Przemoc i poznanie*, Wydawnictwo UMK, Toruń 1995

Mój przyjacielu, każda teoria jest szara,
Ale zielone – życia drzewo złote.
Johann Wolfgang von Goethe

Fragment wiersza Goethego, który wykorzystałam jako motto niniejszego szkicu, zaczerpnęłam z pracy Andrzeja Zybertowicza *Przemoc i poznanie* (s. 116).[1] Zybertowicz pisze, że konstruktywista nosi w sercu te słowa. Też mi się tak wydaje. Nazywanie „złotego" – „zielonym" dobrze oddaje charakter działalności konstruktywistów; wartość zaś ich dokonań ma się chyba podobnie do ich samooceny, jak wartość złotego (przed denominacją) do wartości zielonego czyli dolara. Ale dość złośliwości.

1. IDEOLOGIA

Konstruktywista jest romantykiem, maksymalistą i moralistą. Ponad celami deklarowanymi na początku książki, Zybertowiczowi przyświeca cel dużo donioślejszy, moralny właśnie. Nie cierpię «dużych słów», ale muszę to napisać – i to bez ironii: chodzi mu o zbawienie ludzkości, może lepiej – uchronienie ludzkości przed katastrofą, do której ta zdaje się zmierzać.[2] Nie jestem optymistką, nie jestem też

[1] Odnosząc do książki Zybertowicza, będę wskazywała jedynie stronę, gdzie znaleźć można odpowiedni fragment tekstu.
[2] Zob. s. 366–367.

katastrofistką, chociaż zagrożenia rysujące się przed ludzkością całkiem wyraźnie też mnie bardzo niepokoją. Nie sądzę jednak, żeby słuszna była i diagnoza, rozpoznająca przyczyny «choroby», i zalecana terapia. Zyberowicza, a nie jego jednego przecież, zatrważa przepaść między rozbuchanym, stymulowanym gospodarką wolnorynkową konsumpcjonizmem bogatej części świata i odartą z godności nędzą reszty świata. Postrzega naukę jako jednego z koni wprzęgniętych w pędzący ku przepaści rydwan – tego właśnie, który wyznacza kierunek. Nauka bowiem nie tylko dostarcza «gadżetów» tym, co to *s żyru biesid'sia*, ale poprzez zmonopolizowanie prawdy i racjonalności, uczynienia z nich wartości naczelnych, deprecjonuje – jako irracjonalne – mit, religię, moralność, sztukę. Sprzyjając szaleńczemu rozwojowi technologicznemu, który jej monopol utwierdza i dla którego cała Ziemia jest «globalną wioską», przyczynia się do skrajnej pauperyzacji przeważającej części ludzkości, pozbawiając ich przy tym jakiejkolwiek pociechy i nadziei, skoro odbiera im ich bogów, burzy harmonię świata, który rozumieli i w którym mieli swoje miejsce.

Dlatego Zybertowicz chce zrzucić naukę z piedestału, poniżyć ją, odebrać jej monopol na prawdę – więcej, wykazać, że nie posiada ona żadnej prawdy, że jeśli o to chodzi, to nie różni się niczym od mitu, religii czy literatury.[3] Musi w tym celu dowieść, że technologiczne sukcesy nauki mają swe źródło nie w tym, że nauka dostarcza prawdziwej wiedzy o świecie. Chce więc zbudować model poznania, w którym taki dowód dałby się przeprowadzić.

Szanuję zaangażowanie i intencje autora, ale się z nim nie zgadzam. Najpierw nie sądzę, aby można było obarczać winą za całe zło świata naukę czy nawet scjentystyczną ideologię. To prawda, że nauka wprzęgana jest w ten obłędny proces: podaż coraz to bardziej wyszukanych dóbr konsumpcyjnych, rozbudzanie nowych potrzeb, produkcja i podaż dalszych dóbr[4] – ten kołowrót zdaje się nie mieć końca; że zaangażowanie nauki w produkcję będzie się zwiększać, skoro dysponentami środków na naukę są właśnie ci od produkcji, a środków na badania od dawna nie wystarcza, nawet w skali światowej.[5] Ale «desakralizacja» nauki nic tu nie pomoże, odbierze jedynie pewność siebie tym ciągle licznym, w większości bezimiennym strażnikom *ethosu*, którzy komercjonalizację nauki uważają za zło konieczne w tych zwariowanych czasach, ale są przekonani, że prawdziwym celem nauki jest dążenie do bezinteresownej prawdy.

Nie wierzę też w cudowne recepty na zbawienie ludzkości: odbrązowić naukę, zadekretować równouprawnienie prawdy i mitu – i będzie dobrze. Obawiam się, że rację miał Camus, gdy w *Człowieku zbuntowanym* przekonywał, że nie sposób

---

[3] „Zgadzam się ... z podejściem ... Stephana Fuchsa, który pisze: ... „nie istnieją żadne epistemologiczne różnice pomiędzy nauką a literaturą" (s. 274).

[4] Wpadli w to nawet najzatwardzialsi «jajogłowi», skłonni prać w «zwykłym» proszku. Muszą jednak mieć *Worda*, bo redakcje nie przyjmują tekstów w innym edytorze; *Word* wymaga odpowiednio silnego komputera, na którym «chodzi» wprawdzie nowa wersja *Worda*, ale kiepsko; trzeba mieć więcej pamięci operacyjnej; przeklinając Gatsa zmieniają komputer itd., itd.

[5] Por. uwagi Heleny Eilstein na ten temat w [3], [4].

rozstrzygnąć, co jest dobrem, a co złem dla całej ludzkości – możemy tu się mylić; wiemy natomiast na ogół całkiem dokładnie, co jest dobre, a co złe dla ludzi z naszego otoczenia, lokalnie; to dobro należy więc bez ryzyka pomnażać, a złu przeciwdziałać. Tę zasadę realizowała Matka Teresa z Kalkuty. To jednak wymaga świętości. Gombrowicz opisuje przygodę plażową. Na koc, na którym leżał, spadł nagle na grzbiet mały żuczek i nie mógł stanąć na nóżki. Gombrowicz obrócił żuczka i ten dzielnie pomaszerował. Ale po chwili spadł drugi żuczek, jeszcze jeden i następny; plaża pokryła się żuczkami bezradnie przebierającymi w górze nóżkami. Zrazu Gombrowicz cierpliwie je odwracał. Potem znienawidził żuczki i uciekł z plaży. No cóż, tak postępuje «normalny» człowiek; jeśli jest wrażliwy – przychodzą mu do głowy rozmaite projekty odwrócenia wszystkich żuczków jednocześnie; jeśli jest uczciwy, nie próbuje ich realizować. Tylko święty ma dość odwagi, aby kontynuować działalność przypominającą próbę osuszenia morza metodą czerpania z niego wody łyżką. Ale o tych, co to dla szczęścia «ogółu» przenosili góry i osuszali morza, nie wolno nam zapomnieć; przynajmniej nie w tej części globu.

No i jeszcze prawda tak oczywista, że ze wstydem ją przypominam: za mało mamy jaskiń – już tam nie możemy wrócić. Nauka nie dostarcza tylko zabawek; nie możemy się bez niej obyć. Usiłowania konstruktywistów, zmierzające do przezwyciężenia «imperializmu» nauki, przypominają niszczenie maszyn w manufakturach. A trzeba było organizować związki zawodowe. Teraz też musimy «uciekać do przodu».

Nie wiem, jak to zrobić, nie mogę tu zabierać głosu jako filozof. Moje profesjonalne zainteresowania są dużo węższe. Od lat zajmuję się metodologią i filozofią nauki. Interesuje mnie poznanie naukowe i rzeczywistość opisywana przez naukę. Robię – konieczne moim zdaniem – wycieczki w dziedzinę poznania potocznego i matematycznego, ale już nie w dziedzinę moralności czy przeżyć mistycznych na przykład. Właściwie moje dotychczasowe rozważania koncentrowały się wokół *science*, a więc nauk przyrodniczych. Dopiero ostatnio próbuję dowiedzieć się czegoś o naukach społecznych, ale jestem tu na etapie: *wiem, że nic nie wiem*. Jest to wprawdzie postęp w stosunku do okresu, gdy mówiłam o naukach empirycznych i milcząco zakładałam, że socjologia to taka niedorozwinięta fizyka, ale o nauki społeczne, moralność, religię, sztukę itp. spierać się nie mogę.

2. MODELE POZNANIA

Myślę, że ograniczenie rozważań do modelu poznania nauk przyrodniczych jest do przyjęcia dla konstruktywisty, skoro jego orężem w walce o lepszy świat jest właśnie nowy model poznania. Konkurencyjny wobec modelu tradycyjnego, proponowanego przez *obiektywistę*. W ten sposób to obiektywista jest bezpośrednim przeciwnikiem, z którym potyka się konstruktywista – nie nauka, nie scjentystyczna ideologia, która w wydaniu skrajnym z nauki czyni religię, nie konsumpcyjny styl życia, gospodarka wolnorynkowa czy ponadnarodowe konsorcja. Nie sposób oprzeć

się wrażeniu, że konstruktywista idzie na łatwiznę, tym bardziej, że obiektywista jest papierowy, wymyślony przez konstruktywistę.[6] Takie zwierzę nie istnieje; przynajmniej – już nie.

Skupienie się na naukach przyrodniczych ma sens również dlatego, że ideologiczne nastawienie Zybertowicza sprawia, iż na cenzurowanym są tylko dyscypliny przyczyniające się do rozwoju technologicznego świata i manipulowania ludźmi; pozostałe są zasadniczo w porządku: z pełnym zaufaniem przywołuje wyniki archeologii, etnografii, historii[7] – te jakby docierały do prawdy. Podejrzana jest natomiast cała fizyka (łącznie z kosmologią), chemia, biologia, nauki o zarządzaniu oraz na przykład te, które pomagają menadżerom zamieniać ludzi w trybiki tej skomplikowanej maszynerii, którą jest globalna produkcja dóbr i usług. Podział idzie więc nie tylko poprzez typy nauk, ale poprzez jednorodne, zdawałoby się, dyscypliny, co nie najlepiej wróży całemu przedsięwzięciu. Od razu naraża się na standardowe pytanie, które stawia się każdemu sceptykowi – o prawomocność jego własnych ustaleń. Zybertowicz odpowiada, jak każdy sceptyk – że takie jest jego mniemanie, co w postmodernistycznym żargonie brzmi jakoś tak: to gra jak każda inna, ale chyba lepsza niż gra dotychczasowa. Zaprasza więc do przystąpienia do gry. Ale nie bez obaw: „jednakże jeśli linia rozumowania prowadzona tutaj jest trafna, to otwieranie nowych perspektyw bywa bardzo niebezpieczne" (s. 262).[8]

Konstruktywistyczny Model Poznania (**KMP**) „jest efektem badań [...] takich dziedzin, [...] jak: klasyczna i nie-klasyczna socjologia wiedzy, społeczne studia nad nauką, post-empiryczne, post-analityczne i post-epistemologiczne filozofie nauki, myśl hermeneutyczna, psychologia poznawcza oraz *cognitive science*" (s. 12).[9] Przeciwstawiany jest on Obiektywistycznemu Modelowi Poznania (**OMP**). (Będę dalej posługiwała się skrótami **KMP** i **OMP**.)

---

[6] Zob. s. 108–112.

[7] Czytamy np., że „wraz z rewolucją neolityczną zbiorowości ludzkie rozpoczęły grę uprawy ziemi i produkcji żywności" (s. 130). Terminem „gra" nie należy się przejmować, można go spokojnie pominąć. Jak zobaczymy za chwilę, nieomal wszystko jest przemocą. Każda też działalność przebiegająca wedle jakichś reguł jest grą, a taka kultura, to nie dość, że jest grą, ale jeszcze jest grą gier! Tego typu zabawy słowne autor uprawia z lubością – nie tylko z tym terminem. Chełpi się przy tym (jakieś kompleksy?), że „może wesprzeć się modelami teoretycznymi stosowanymi w tak «poważnych» naukach, jak biologia, teoria systemów lub nauki komputerowe" (s. 122). Teoria gier jest porządnie sformułowaną teorią matematyczną, z dobrze określonymi pojęciami, twierdzeniami, dowodami *etc.* Z rozważaniami autora wspólny ma tylko napis/dźwięk: „gra". Podobnie inne teorie tu przywoływane. Irytuje mnie takie «posiłkowanie się» teoriami, a nie będę mogła podjąć szerzej tego zagadnienia; stąd ta uwaga.

[8] Tu autor znowu wpada w pułapkę: jeśli jego koncepcja jest „trafna" – czyli prawdziwa, bo co by to innego miało znaczyć? – to prawdy nie ma, więc i jego linia rozumowania trafna być nie może! Może więc spać spokojnie.

[9] Dokładnie rzecz biorąc, tym efektem jest twierdzenie, zgodnie z którym o charakterze wiedzy nie przesądza to, co jest jej przedmiotem, ale społeczne okoliczności wytworzenia i funkcjonowania tej wiedzy (s. 12). Nie wiem jednak, co to jest „charakter wiedzy", nie mogę się więc ustosunkować do tego twierdzenia. Kłopoty ze zrozumieniem *nowomowy* post-...istów

3. O PRZEMOCY, PRAWDZIE I JESZCZE PARU RZECZACH

Chociaż główna hipoteza pracy sformułowana jest następująco:

> przemoc odgrywa konstytutywną rolę w procesie tworzenia, upowszechniania i funkcjonowania wiedzy w społeczeństwie i bez postawienia jej w centrum uwagi nie sposób przemian wiedzy wyjaśnić (s. 14),

proponuję ograniczyć w naszej dyskusji wątek *przemocy* do minimum. Dla sporu obiektywistów z konstruktywistami jest prawie obojętne, czy przemoc, czy perswazja, a może ambicja lub pazerność odgrywa tę kluczową rolę.

Zybertowicz zresztą tak szeroko rozumie pojęcie przemocy, że logika na równi z Pol-Potem jest tyranem, a w pewnych okolicznościach i ambicja, i chęć zrobienia pieniędzy, i gorące afekta młodziutkiej panienki.[10] I grawitacja oczywiście, i konieczność oddychania, no a język i takie tam „2+2=4", to po prostu przemoc w czystej postaci. Definicji Zybertowicz programowo unika, mogą być one bowiem „jak pocałunek śmierci dla wyobraźni badaczy" (s. 35). Przemoc kojarzy z sytuacją, gdy (1) „mamy do czynienia z pracą fizyczną zastosowaną wobec jednostek lub grup ludzkich, podjętą przy tym bez faktycznej lub domniemanej zgody wchodzących w grę osób" (s. 48), oraz gdy (2) „jednostka bądź grupa nie jest w stanie przeciwstawić się danym okolicznościom, gdy nie ma możliwości wyboru" (s. 49). Przyjęcie za *Słownikiem języka polskiego* (PWN, Warszawa 1979), że „[czynić coś] przemocą" znaczy „używając siły fizycznej, wbrew czyjejś woli", krępuje niewątpliwie wyobraźnię – przy takim rozumieniu tego terminu książka *Przemoc i poznanie* nie mogłaby powstać. „Domniemana zgoda", „niemożność przeciwstawienia się" dopuszczają taką dowolność interpretacyjną, że książka Zybertowicza może być potraktowana jako jedna z serii pt. *Przemoc i co-tam-jeszcze-komu-przyjdzie-do-głowy*. Jednym słowem, wszystko jest lub może być przemocą, tak jak wszyscy ludzie są egoistami; tezy dobre do epatowania podlotków i ogłupiania (ewentualnie prowokowania do dyskusji) mniej inteligentnych studentów.

Poświęciłam przemocy tak wiele miejsca tylko dlatego, że sposób wprowadzania i posługiwania się tym pojęciem ilustruje jedną z głównych metod Zybertowicza. Podobnie postępuje autor z innymi pojęciami: poznaniem, wiedzą, kulturą, nauką, prawdą, grą. Nieskrępowana definicjami wyobraźnia prowadzi do swoistej *nowomowy* postmodernistycznego dyskursu wedle przepisu: „każdy gadał o czymś innym, jak zwykle w życiu rodzinnym". Mam przemożne wrażenie, że jedynym efektem tej swoistej «burzy mózgów» jest ogromna ilość ubitej piany.

Zatrzymajmy się przy pojęciach poznania, wiedzy, prawdy, rzeczywistości, tutaj bowiem mają one zasadnicze znaczenie. Dowiadujemy się np., że „dla **OMP prawda znajduje się na zewnątrz** – wiedzy, języka, kultury; słowo jedynie ją uobecnia"

---

towarzyszyły mi stale podczas lektury książki.

[10] Chodzi o „dziewczę nie potrafiące przeciwstawić się swoim porywom miłosnym" (s. 54).

(określenie Derridy) (s. 59). Moje stanowisko jest jakąś wersją obiektywizmu,[11] ale nie rozumiem, co to zdanie znaczy. Terminu „prawda" używam niechętnie; w moim rozumieniu odnosi się on do ogółu prawdziwych sądów. Termin ten używany w liczbie mnogiej – np. w zwrocie *home truths* – znaczy po prostu tyle, co zdania (sądy, przeświadczenia) prawdziwe. Podstawowy jest termin „prawdziwy" w sensie „zgodny z rzeczywistością".[12] Jest to *relatywna charakterystyka sądów*. Pewne nasze przekonania są zgodne z rzeczywistością, tak jak pewne domy położone są w pobliżu jeziora. „Bycie w pobliżu jeziora" jest relatywną cechą tych domów – czy to znaczy, że jest ono jakoś **na zewnątrz** nich? Jan jest niższy od Piotra – co tu mają do rzeczy te określenia: „wewnątrz", „zewnątrz"? Jeśli już, to prawda jest **pomiędzy**.

U Rorty'ego autor znajduje wyjaśnienie przywiązania obiektywisty do „relacji epistemologicznej". Jest ono związane z „ideą jednostki ludzkiej, ideą indywidualności" (s. 84).

> Jeśli rzeczywistość, tzn. prawda, bytuje gdzieś **poza** (aktualną) wiedzą – czytamy – to jednostka znajduje metafizyczne uzasadnienie dla przeciwstawienia się całej zbiorowości, która ją otacza. Zbiorowość może się mylić, może nie mieć racji, ponieważ rzeczywistość, **prawda może być czymś innym** niż poglądy, wyobrażenia tej zbiorowości (s. 84).

Pewnie jestem obrzydliwą indywidualistką, a może nawet jednostką, ale też sądzę, że zbiorowość może być w błędzie. Zdaje mi się również, że kilku takich, co się przeciwstawiło – Kopernik, Galileusz, Darwin, Lavoisier i podobni – nieźle na tym wyszło; rozumiem jednak, że według konstruktywisty zbiorowości przeciwstawiać się nie należy lub nie można. Nie o to jednak chcę się teraz spierać.

Konstruktywistów wiele łączy ze zwolennikami «późnego» Wittgensteina. Między innymi to, że potrzebują przeciwnika. Wittgensteiniści, gdy wyleczą już ludzi z «tradycyjnej» filozofii, zajmą się jakąś pożyteczną pracą; ostatni ogłosi koniec filozofii i zgasi światło.[13] Moim zdaniem konstruktywiści również nie mogą obejść się bez przeciwnika. Na razie go mają. Jest nim obiektywista. W książce jednak obiektywistów jak na lekarstwo. Francis Bacon przedstawiany jest jako ten od „umieszczania przyrody na łożu tortur w celu wydobycia jej tajemnic" (s. 350), Agassi zganiony za zignorowanie uwagi Feyerabenda, że „nie możemy wiedzieć, jaka była fizyczna skuteczność tańca deszczu w Ameryce Północnej, zanim przybyli tam Europejczycy" (s. 220), Amsterdamski, Newton-Smith wysuwają jedynie argumenty podważające **KMP** (s. 123, 124). Dość często cytowany jest Gellner, ale przywoływane fragmenty – w postaci luźnych uwag – rozproszone są po całym tekście; trudno byłoby je zebrać w spójny zbiór poglądów. Skąd więc konstruktywista wie, co sądzi obiektywista? Powyższe rozważania wyjaśniają tę kwestię: wie od innego konstruktywisty – powiedział mu o tym Derrida, Rorty, Foucault, Fuchs; lista jest długa. Nic

---

[11] W *One more face of realism* [11] nazwałam je „*species*" objectivity.

[12] O pojęciu prawdy pisałam wielokrotnie. Por. np. [7], [9].

[13] Pisałam o tym w [14].

dziwnego, że żaden obiektywista z krwi i kości nie może się rozpoznać na tym portrecie. Dlatego określiłam moje uwagi jako „nieskromne" – muszę bowiem prezentować własne poglądy, wielokrotnie publikowane; nie mogę odpowiadać za wymyślonego przez konstruktywistów obiektywistę.

Mamy tu dalej piękny przykład konstruktywistycznej twórczości typu *zielone – życia drzewo złote*. Prawda jest rzeczywistością, albo może odwrotnie. Czymże ta prawda zresztą nie jest! Otóż: „nie jest NAGRODĄ otrzymywaną przez swobodne duchy, DZIECIĘCIEM długotrwałej samotności, ani też PRZYWILEJEM tych, którym udało sie uzyskać wyzwolenie. Jest natomiast „RZECZĄ" z tego świata: jest wytwarzana jedynie dzięki licznym środkom przymusu" – to według Foucaulta (s. 354; wyróżn. moje, *EK*). Według zaś Du Bois (na tej samej stronie): „idee prawdy jako czegoś do od-krycia, czegoś znajdującego się gdzieś-tam, poza naszą rozmową, zawdzięczamy zinstytucjonalizowanej, sądowej praktyce torturowania niewolników u starożytnych Greków, praktyce mającej na celu wydarcie prawdy z ciała niewolnika". „Prawda to ZJAWISKO KULTUROWE, tak jak pieniądz władza i państwo... Prawda jest SPOŁECZNĄ I HISTORYCZNĄ INSTYTUCJĄ (s. 356; wyróżn. moje, *EK*). A jednocześnie wyobraźnia może uchwycić „choćby przebłysk zawsze przerażającego światła prawdy" (s. 46). To tylko mała próbka możliwości konstruktywistów; przepraszam za to banalne i nudne: „zgodne z rzeczywistością".

Ale co to wszystko na miłość boską ma znaczyć?! Jeśli przypuszczam, że moje ciapy stoją pod łóżkiem, to jest to przypuszczenie prawdziwe bądź fałszywe w zależności od tego, czy one tam stoją, czy nie. Zgoda; to, że używam ciapów, że sypiam w łóżku, jest uwarunkowane kulturowo, ale co to ma do rzeczy, gdy idzie o rozstrzygnięcie kwestii, czy przedmiot, który nazywam *ciapami*, znajduje się pod przedmiotem, który nazywam *łóżkiem*. Co tu mają do rzeczy te instytucje, które do tego przebłyskują przerażającym światłem? Czy gdyby te ciapy były pod łóżkiem, to podpadałoby to pod „formułę ogólną: to **nie prawda wygrywa z fałszem, lecz silniejszy ze słabszym**" (s. 191)?

Naturalnie, czasami trudno zajrzeć pod łóżko.[14] Gdybym miała niewolnika, mogłabym go zmusić do zajrzenia, a potem torturami wydrzeć z niego prawdę. Mimo tortur mógłby jednak skłamać, albo mylnie wziąć kota za ciapy, albo wręcz sądzić, że *ciapami* nazywam to małe zwierzątko futerkowe, które jest pod łóżkiem. Ale to przecież nie ma nic wspólnego z prawdziwością zdania, a tylko z ustaleniem, czy jest ono prawdziwe. Nie o *definicji* więc mówimy, a o *kryterium prawdy*. I właśnie o kryterium prawdy chodzi konstruktywiście, co zresztą jasno wynika ze słów samego autora: „OMP pyta się: co decyduje o **prawdziwości lub fałszywości** naszych twierdzeń? KMP: co powoduje, że pewne sądy uznawane są za prawdziwe bądź fałszywe?"(s. 63).[15]

---

[14] Dla mniej uważnych: to metafora! Użyłam jej, żeby się przypodobać konstruktywiście; oni za metaforami przepadają.

[15] Przeciwstawienie zresztą mylne; obiektywistę interesują również kryteria prawdy.

Podobnie autor *Przemocy i poznania* zdaje się mylić *uniwersalność* praw przyrody z *powszechnością* uznawania czy praktycznego wykorzystywania tych praw. Zybertowicz powołuje się (s. 322) na Latoura, który twierdzi, że „uniwersalność jest też społeczną konstrukcją" i tak streszcza podany przez Latoura przykład ze szczepionką Pasteura:

> gdyby rolnicy francuscy ówczesnego okresu (druga połowa XIX w.) nie funkcjonowali w warunkach gospodarki rynkowej, wydaje się mało prawdopodobne, by na szerszą skalę zastosowane zostały środki zaradcze zapobiegające epidemiom wśród zwierząt (s. 322).

Twierdzi, że:

> gdy już przestrzeń reguł rynkowych została zinstytucjonalizowana, wtedy przypadkowe i arbitralne – w pewnym sensie – koncepcje przyrodoznawcze mogły uzyskiwać status prawd obiektywnych, uniwersalnie ważnych i koniecznych (s. 322, 323).

Skąd to pomieszanie? Przecież konstruktywista z pewnością odróżnia kryterium od definicji, uniwersalną prawdziwość od powszechnej znajomości itp. Czemu więc wyraża się tak dziwnie? Otóż – jeśli dobrze rozumiem – konstruktywista stwierdza fakt społeczny:[16] ludzie uznają pewne zdania za prawdziwe. Jest to dla niego fakt zdumiewający i wymagający wyjaśnienia, ponieważ według niego nie ma zdań prawdziwych w sensie zgodności z rzeczywistością, po prostu dlatego, że nie ma rzeczywistości. To znaczy, nie ma rzeczywistości pojmowanej „jako jakaś bytowość poza-kulturowa" (s. 17).[17] Każdy ma taką rzeczywistość, jaką sobie stworzy. Dokładnie mówiąc – prawdopodobnie miałby, gdyby nie był od dziecka (przemocą) wdrażany w postrzeganie świata stworzonego przez kulturę, w której wzrasta.

Za chwilę zajmiemy się tym „tworzeniem rzeczywistości w społecznym dyskursie". Najpierw zauważmy, że nawet w matematyce, której przedmiot – rzeczywistość matematyczną – wolno traktować jako twór myśli ludzkiej, przydaje się poza pojęciem twierdzenia, pojęcie zdania prawdziwego. Przydaje się też w mniej abstrakcyjnych rzeczywistościach. Na przykład w rzeczywistości potocznego doświadczenia, co zademonstrowałam powyżej. Co ciekawsze, przydaje się również konstruktywiście:

> podejście obiektywistyczne [...] uprawnione jest nie tylko w pewnych kontekstach lokalnych [...], ale także wówczas, gdy dla uniknięcia niekończących się pętli refleksyjności [...] przyjmujemy (oczywiście roboczo – bo wynika to z metafizyki konstruktywistycznego modelu poznania) jakąś teorię lub koncepcję interpretowaną pozytywnie, tzn. realistycznie (s. 80, 81).

---

[16] Fakty społeczne czy kulturowe to jedyne fakty, które konstruktywista stwierdza z łatwością, nie martwiąc się, że są społecznie konstruowane, a gdy idzie o forsę, to fakty są nawet obiektywne: „można zignorować taki fakt obiektywny [...], jakim jest rola pieniądza w życiu społeczeństwa i jednostki" (s. 113).

[17] Mówiłam, że konstruktywista jest maksymalistą – jak opisywać prawdziwie, to tylko *rzeczywistość samą w sobie*, a ponieważ tej opisywać nie sposób, to zabiera zabawki i sobie idzie: nie ma rzeczywistości, nie ma prawdy! Wymyślony przez niego obiektywista jest jego *alter ego*. «Normalny» ma dużo mniejsze wymagania.

Tak właśnie przypuszczałam – bez oparcia w realistycznie traktowanych teoriach, konstruktywizm musi grzęznąć w „niekończących się pętlach refleksyjności" – jak to ładnie zostało powiedziane. I uznaję to za słabość konstrukcji konstruktywistycznej. Obiektywiście wolno opierać się na wynikach nauki. Naturalnie nie traktuje ich on absolutystycznie.

Założeniem «mojego» naturalizmu – pisałam w [13] polemizując z Putnamem – jest więc zaufanie do nauki. Naturalnie nie bezgraniczne. Ale też nie oczekuję, że nauka dostarczy ostatecznych «podstaw» filozoficznym rostrzygnięciom. Te ostatnie mają być zgodne, a co najmniej niesprzeczne z wiedzą naukową, ponieważ jest to, w mojej opinii, najlepszy rodzaj wiedzy jakim dysponujemy. Jeśli nauka znowu zmieni nam obraz świata czy naszego w nim miejsca, nie pozostanie nam nic innego, jak zmienić naszą filozofię.

Ale konstruktywiście, dla którego prawdziwość teorii jest społecznie dekretowana i przemocą utrzymywana, a „pojęcia i wywody skonstruowane wedle wymogów [...] logiki daleko wykraczają **poza życie** [...], [w] pewnym sensie [...] są życiu wrogie" (s. 33), nawet roboczo nie wolno tego robić. Jak bowiem zamierza odrzucić tę drabinę? Konstruktywista praktykuje tu moralność Kalego: tym teoriom, które służą pognębieniu obiektywisty – wydumanego zresztą – można (roboczo?) zaufać, innym nie. Znajduje ponadto zastosowanie dla klasycznej koncepcji prawdy w wyróżnionych przez siebie poznawczych sytuacjach pierwszego i drugiego rodzaju (s. 140). Tym wypada się teraz zająć.

4. O POZNAWANIU

O wiedzy i poznaniu czytamy bardzo różne rzeczy. Na przykład: poznanie to „ustalanie stałych relacji między światem zdarzeń postrzeganych jako obiekty, a zdarzeniami postrzeganymi jako reprezentacje" (s. 62). Jednym słowem, ustalanie *which bit of* **RP** *ties which bit of* **PO**[18] – taka odmiana *spectator theory of knowledge*. Za wiedzę uznajemy jedynie informacje o uniwersalnych regularnościach [...]. Wiedza i informacja po prostu o jakichś «tu» i «teraz» szczegółach, czy unikatowych postrzeżeniach, nie jest wiedzą [...]. Wiedzę o świecie „wyrażają tylko okresy warunkowe".[19] [...] Poznanie jest dialogiem kultur i dialogiem między kulturami (s. 107). Itd., itp. – kto cierpliwy, niech próbuje złożyć to w jakąś całość. W każdym razie autor odróżnia cztery rodzaje poznania.

Poznanie może być zatem: 1) odtwarzaniem treści doświadczenia społecznego; 2) odkrywaniem zawartości istniejących gier kulturowych; 3) redefiniowaniem istniejących gier w następstwie kontaktów z innymi grami kulturowymi; 4) projektowaniem nowych obszarów doświadczenia kulturowego (s. 127, 128).

---

[18] **PR** – „świat zdarzeń postrzeganych jako reprezentacje" (w oryginale *language*), **PO** – „świat zdarzeń postrzeganych jako obiekty" (w oryginale *reality*).

[19] Pozytywnie cytowane w przypisie na s. 87 odpowiednio opinie Munza i Pałubickiej.

Pierwsza sytuacja to uczenie się, druga to zdobywanie wiedzy w obrębie danego paradygmatu – obszar *nauki normalnej*. Od koncepcji kuhnowskiej różni tę drugą sytuację silne akcentowanie «lokalności», zależności paradygmatu od konkretnej kultury. Zybertowicz musi więc wyjaśniać „dlaczego wytwarzamy światy do siebie podobne?" (s. 138). Odpowiada, że to dzięki istnieniu wolnego rynku (rozdz. VIII), co pozwala mu uniknąć „interpretacji obiektywistycznej". No cóż, podobieństwo kalendarzy Azteków i Sumerów wskazuje zapewne, że wolny rynek jest starszą instytucją, niż się na ogół sądzi – istniał już przed rozdzieleniem się kontynentów. Nie mnie o tym sądzić! Ponieważ jednak tworząc wiedzę, stwarzamy świat, różne kultury żyją w innych światach. Zybertowicz musi więc odpowidzieć na pytanie („ulubiony argument rzeczników realizmu metafizycznego"):

> Czy zarazki chorobotwórcze istniały dla starożytnych lub współczesnych nam ludów pierwotnych, których gry kulturowe są przecież tak różne od naszych? Dlaczego antybiotyki – wytwór **naszej** kultury – okazują się skuteczne wobec **ich** chorób. I skąd w ogóle choroby w innych kulturach; czyż dla konstruktywistów nie jest to jedynie wytwór naszych lokalności? (s. 136).

Odpowiada w dwóch krokach: „Ludy owe miały (mają) inne ciała i inne «zarazki»" – krok pierwszy; krok drugi: „Inni nie są całkiem inni [...]; uczestniczą także w grach, których reguły [...] są takie same jak reguły naszych gier" (s. 137, 138).[20] Inni, ale nie całkiem inni. Do sprawy tej Zybertowicz wraca jeszcze później, rozważając przypadek «Paste(u)ryzacji Francji» (to określenie Latoura), o którym była już mowa (na s. 88 niniejszego tekstu). Mówiąc o skuteczności szczepionki, stwierdza:

> Zresztą może w ogóle nie byłoby «potrzeby zaradzania». Nie dlatego, że przed zapanowaniem gospodarki rynkowej **nie istniały** epidemie chorób zwierząt! [...] [Ale z powodu] przedrynkowego i przedracjonalnego [...] fatalizmu, godzenia się z tym, co przynosi los (s. 322, wyróżn. moje, *EK*).[21]

Na pytanie „Skąd choroby?" (mnie interesuje również nasza kultura) nie znalazłam wcześniej wyraźnej odpowiedzi. Tu okazuje się jednak, że epidemie, choroby istniały! Zdaje się to wskazywać, że zmienił się nie tyle świat, co postawa ludzi wobec niego, sposoby radzenia sobie w tym świecie. Może to i nie całkiem zgodne z konstruktywizmem, ale zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Przypuszczenie bowiem, że – wszystkie przecież – kultury nieprzymuszone wymyśliły sobie „pomory", „zarazy" i inne „plagi" wydaje się nie tylko dziwaczne, ale i obraźliwe. To wszystko spotyka *obiektywnie* biednych ludzi i starają się zaradzić temu, jak umieją: paląc gromnicę, modląc się, stosując szczepionki, wprowadzając genetyczne korekty.

---

[20] Swoją drogą, interesujące jest w tym kontekście pytanie, co jest – w teoretycznym i faktycznym planie – wcześniejsze: jednostka czy kultura.

[21] Konstruktywista nie powinien chyba mówić, że przed Pasteurem były epidemie. Raczej «pomory», «dopusty Boże» – a co na dopust Boży poradzisz? Nic nie poradzisz! Stąd Zybertowiczowy fatalizm.

W tych dwóch pierwszych sytuacjach poznawczych

> klasyczna koncepcja prawdy znajduje zastosowanie. [...] To na tym obszarze przedmiot i podmiot poznania są rozdzielone i ten pierwszy posiada przewagę nad indywidualnymi podmiotami – jest od nich niezależny przyczynowo (s. 140).

To jest PIERWSZE USTĘPSTWO konstruktywisty na rzecz tradycyjnej filozofii.[22]

Nie zdołałam pojąć na czym polega trzecia sytuacja poznawcza (s. 142–148). Powstaje ona na styku kultur. Ale chyba nie trzeba zaraz mieć DZIKIEGO. Wystarcza, że biolog pożycza idee czy metody od fizyka czy filozofa, ci znów od biologa itp. Jeśli to tylko o to chodzi, to dla obiektywisty to proste. Ma obiektywny przedmiot do poznania i próbuje różnych sposobów, żeby się z tym uporać, stosuje różne narzędzia. Może wziąć atomy od Demokryta i traktować światło jako korpuskuły. Albo trzymać się Arystotelesa i potraktować je jak fale. Wysłuchałam przepięknego wykładu o możliwości wykorzystania teorii chaosu, dokładniej pojęcia struktur dyssypatywnych, do opisu ziemskiej ewolucji.[23] Obiektywiście łatwo: nie pasuje jedno narzędzie, to je zmieni – jak nie kijem go, to pałką. Naturalnie, musi przekonać kolegów, że nowe narzędzie lepiej pasuje. To nie zawsze łatwo idzie, niektóre narzędzia sprawdziły się w tylu sytuacjach, «ułożyły się» do ręki, trudno się z nimi rozstać; ale ma swoje sposoby: dokładniejsze pomiary, wyjaśnienie anomalii, większa ogólność itp. Konstruktywista ma gorzej. Użyje tych ogromnych środków przemagających, zmontuje rzeczywistość i masz babo placek! Rzeczywistość paskudna. Rozmontować niby wszystko można. Zmontowało się,[24] to się i rozmontuje dowolny fakt, ale sam przyznaje, że łatwiej mu rozmontować fakt: ta panienka jest prześliczna – niż grawitację. Z grawitacją jak na razie w ogóle mu nie wychodzi.[25]

Czwarta sytuacja poznawcza (s. 148–152) odpowiada – jeśli dobrze to rozumiem – kuhnowskiej zmianie paradygmatu czyli rewolucji naukowej. Obiektywista ma to jako tako «przerobione»: anomalie, niespójność i sprzeczności między teoriami[26]

---

[22] Na takie drobne, lokalne prawdy, konstruktywista może przystać. „Ale z największej nawet liczby takich prawd lokalnych [...] nie wyłoni się żadna prawda przez duże „P"; nie uzyskamy żadnej naukowej, całościowej, obiektywnej wizji społecznego świata" (s. 359). Tu akurat autor mówi o świecie społecznym, ale z pewnością odniósłby tę uwagę do całego świata. Dla obiektywisty (takiego jak ja) jest to zupełnie oczywiste. Ogólne prawdy w ten sposób się nie wyłaniają i nawet ci, którzy dążą do zbudowania Teorii Wszystkiego, nie sądzą, że mogłaby ona objąć całe bogactwo realnego świata. Znowu dochodzi tu do głosu MAKSYMALIZM konstruktywisty.

[23] Autor nie pożyczył przy tym tylko słowa „struktura dyssypatywna", ale naprawdę stosował tę teorię z jej równaniami termodynamicznymi.

[24] „W niektórych przypadkach konstruktywiści potrafią powiedzieć, w jaki [sposób], w innych nie" (s. 294).

[25] Nasze szczęście! Zmiotłoby nas z Ziemi jak nic, a i z niej nic by nie zostało.

[26] Helena Eilstein słusznie zauważa, że realista opisuje tu adekwatniej niż pragmatysta to, co faktycznie w nauce się robi: „Dla realisty poznawczego – pisze w [3] – sprzeczności

wymuszają zmianę paradygmatu, która następuje, gdy pojawia się nowy paradygmat, pozwalający wyjaśnić anomalie, określić zasięg stosowalności starej teorii (nauka jest kumulatywna). Są zwykle jeszcze inne korzyści: dokładniejsze przewidywania, wzrost ogólności, co pozwala objąć większą liczbę zjawisk itp. Zwykle zaczyna się to zresztą niewinnie: Kopernik zauważa, że rachunki się uproszczą, jak się wybierze inny układ odniesienia; Planck stara się napisać taki «wzór», który wreszcie dawałby przewidywania zgodne z danymi eksperymentalnymi; Einstein rozważa, kiedy układy inercyjne będą nieodróżnialne ze względu na prawa fizyki itp. Zwykle nawet to, co WIELKIE w nauce zaczyna się niepozornie. Konstruktywista nie ma tak lekko. Już sam początek jest trudny.

> Przedmiot badania już obiektywnie [...] istnieje [...]. W takiej sytuacji zastosować «niewłaściwą» metodę,[27] [...] [to] albo ponieść klęskę [...], albo podjąć próbę naruszenia społecznych interesów (nie tylko poznawczych); [...] [to] niemal bezpośrednio (może słowo „niemal" jest tu zbędne?) przekształcać kulturę i strukturę społeczną (s. 135).

Skoro kulturę, to i rzeczywistość.[28] Odpowiedź na pytanie, „jaki jest mechanizm wprowadzania [...] nowych definicji sytuacji" – bo na tym polega rewolucja naukowa – nie wydaje mi się zadowalająca. Nie wiem, od czego to się zaczyna, czemu te re-definicje (które są zarazem kosztownymi re-konstrukcjami rzeczywistości) w ogóle się pojawiają. Znajduję jedynie, że „nowe instytucje i nowe definicje sytuacji można instalować i podtrzymywać także za pomocą przemocy" (s. 146).

Nie wiem, jak – zdaniem konstruktywisty – **można** inaczej. W rozdziale VIII, zatytułowanym „Przyrodoznawstwo a humanistyka z perspektywy konstruktywistów", sukcesy poznawcze i technologiczne przyrodoznawstwa wyjaśnia się za pomocą sugestii, że przyroda łatwiej nagina się do teorii przyrodników, bo ci dysponują większymi środkami dla zdyscyplinowania swych badaczy, wymuszając na nich trzymanie się tych samych definicji sytuacji, oraz dysponują

> laboratoriami, które mogą «poszerzać», ekspandować na obszar praktyk poza-poznawczych, [...] zatem dysponują środkami, by «przemóc» swój przedmiot, dopasować go do modeli teoretycznych (s. 342).

Gdyby humaniści mieli takie środki, zrobiliby z materią społeczną to samo.

W każdym razie, wszystko to kosztuje. Na konstruktywiście spoczywa powinność wyjaśnienia, skąd u paryskiego lekarza czy u biednego urzędnika biura patentowego tyle mocy czy środków, by stworzyć tak przemożną sytuację, w której tysiące, setki

---

i niespójności w naukowym opisie świata są inspirującym wyzwaniem. Domagają się usunięcia przez dalszy wysiłek poznawczy uczonych. Pragmatysta skonfrontowany nawet z wyraźną sprzecznością może zadowolić się spostrzeżeniem, że nie ma ona znaczenia dla praktycznych zastosowań nauki" (s. 152).

[27] Np. przyjąć heliocentryzm – uwaga moja, *EK*.

[28] „Cała wiedza i rzeczywistość jest konstruowana przez gry kulturowe" (s. 136).

tysięcy, miliony ludzi karnie zestrzeli myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko ducha, zre-konstruuje treści wiedzy, ekspanduje to wszystko i zmusi to „«materialne» podłoże"[29] do uformowania się w nową rzeczywistość. A nie udało się to takiemu panisku, jak Łysenko, którego wspierała cała potęga wielkiego mocarstwa, ze swymi ogromnymi środkami finansowymi, środkami upowszechniania, przymusu wreszcie. Musi to czary! Albo to można wprawdzie sadzić dowolnie, byleby jednak zielonym do góry! Inaczej nie da rady. Może to prawda, że nasze stosunki z tym «podłożem» to gra, ale chyba nie całkiem na naszych warunkach: gra w milion pytań, na które «podłoże» odpowiada zwykle „nie", a tylko od czasu do czasu „może" (tak Einstein mówił o przyrodzie).

W trzeciej i czwartej sytuacji klasyczna teoria prawdy nie ma bezpośredniego zastosowania. Mnie to nie dziwi. Chodzi przecież albo o normy metodologiczne czy heurystyczne idee – w obu wypadkach legitymacją jest owocność, albo o zasady z wysokich teoretycznych pięter, a te konfrontowane są z rzeczywistością pośrednio. Pisałam o tych problemach wielokrotnie i szczegółowo. Tu nie mogę w pełni rozwinąć argumentacji. W [8] (s. 90) konkludowałam:

> Proces konfrontowania teorii z rzeczywistością (empiryczną) jest wielostopniowy. Poprzez modele budowane w ramach teorii bardziej szczegółowej przesuwamy się «o piętro niżej», aż do momentu osiągnięcia poziomu empirii lub dotarcia do teorii zamkniętej. Procedura ta nie prowadzi zazwyczaj do konstatacji, że dana teoria jest prawdziwa, nawet w sensie zgodności z rzeczywistością empiryczną. Jest jednak jedynym sposobem uwiarygodnienia teorii.

5. TWORZENIE RZECZYWISTOŚCI

Przejdźmy wreszcie do zapowiadanej już kilkakrotnie kwestii rzeczywistości. Odkrywana czy tworzona? Pod sztandarem konstruktywizmu – jak wskazuje już sama nazwa – skupiają się ci, którzy twierdzą, że rzeczywistość jest tworzona, konstruowana. „[**OMP** przyjmuje, że] wiedza podmiotu i jej przedmiot to odmienne ontologicznie rodzaje bytu" (s. 73). **KMP** ten dualizm znosi, więc (zapewne) wiedza podmiotu i jej przedmiot to ten sam rodzaj bytu. Pełno o tym tworzeniu/konstruowaniu na kartkach książki Zybertowicza. Konstruktywista nie unika żadnych tematów. Zdaje się potakująco kiwać głową, gdy Fardon pyta:

> A może fakt umierania jest konstytuowany poprzez pojmowanie tego, czym śmierć jest: czy pójdę do nieba, czy piekła, czy ulegnę reinkarnacji, czy dołączę do moich przodków i tak dalej? (s. 154, 155).[30]

Gdy Turner upiera się, że

---

[29] Bo jest jakieś podłoże (s. 344) – o czym za chwilę.

[30] Nie ma nic o narodzinach. Człowiek chyba tak naprawdę rodzi się dopiero wtedy, gdy już sobie fakt swoich narodzin skonstruuje. Rodzi się zresztą na raty: raz, gdy go przynosi bocian, drugi raz, gdy go mamusia nosi pod serduszkiem, potem idą te zygoty...

nawet jeśli takie zjawisko, jak odmienność płci jest wytwarzane przez systemy klasyfikacji panujące w danych kulturach, to jednak organizmy męskie i kobiece są organicznie, fizjologicznie, biochemicznie różnymi od siebie zjawiskami,

Zybertowicz wzrusza ramionami:

przyjmuje on (moim zdaniem arbitralnie – bo innej możliwości nie ma) jedną z narracji, jeden z dyskursów jako bardziej podstawowy od innych, jako najbardziej bazowy (s. 155).

Wielość dyskursów = wielość światów – to jedna z podstawowych przesłanek konstruktywistów. Obiektywista też o tym wie. Może o tym przeczytać np. u Kapuścińskiego:

Kilka lat temu wigilię Bożego Narodzenia spędzałem [...] w Parku Narodowym w Mikumi, w głębi Tanzanii. [...] Na polanie w buszu, pod odkrytym niebem stało kilka stołów. [...] Byli tam ministrowie rządu Tanzanii, ambasadorzy, generałowie, wodzowie klanów. [...] Nagle poczułem, jak nieprzenikniona ciemność, która czaiła się tuż za oświetlonymi stołami, zaczyna się kołysać i dudnić. Trwało to krótko. Łoskot szybko narastał i oto tuż zza naszych pleców, z głębi nocy, wyłonił się słoń. [...] Słoń-samotnik, odłączony od stada, to często zwierzę w amoku, rozszalały napastnik, który rzuca się na wioski, tratuje lepianki, zabija ludzi i bydło. [...] Przy stołach martwa cisza, wszyscy siedzą znieruchomiali ze strachu, sparaliżowani. [...] W końcu, obszedłwszy kilka razy stoły i polanę, słoń zostawił nas, odszedł i roztopił się w ciemnościach. Kiedy ustało dudnienie ziemi i mrok znieruchomiał, ktoś z siedzących koło mnie Tanzańczyków spytał: – Widziałeś? – Tak – odparłem na wpół jeszcze zmartwiały. – To był słoń. – Nie – odpowiedział. – Duch Afryki przybiera zawsze postać słonia. Bo słonia nie może pokonać żadne zwierzę. Ani lew, ani bawół, ani wąż ([15], s. 12).

Konstruktywista jednak dodatkowo twierdzi, że różne narracje są równie dobre. Dla Żelaznego (autor cytuje go na s. 190) współczesna kosmologia jest uznawana nie dlatego, że:

wyraża ona coś bliższego jakiejś prawdy [...]. Baśnie tureckie, mówiące, że na początku świata była wielka szara gęś, mity skandynawskie, upatrujące początek świata w mieszaninie mgieł, ciemności, pustki i ognia [...], były [...] równie przekonujące i godne zaufania, jak dla nas najściślejsza nauka.

Pewnie tak. Peter Winch [17] dowodzi, że kultura Zande i kultura europejska są równie spójne i (wewnętrznie) racjonalne. I też ma pewnie rację. Ale konstruktywista wyciąga z tego wniosek, że kultur nie sposób porównywać. A tu już zgody nie ma. Oczywiście, obiektywista nie jest maksymalistą, nie zastanawia się, która narracja jest lepsza **w ogóle**. Ale zauważa, że różne narracje (do tego żargonu można się przyzwyczaić) są lepsze do pewnych celów, inne do innych. Porównuje lokalnie. Nawet konstruktywista stwierdził, że inny jest inny, ale niezupełnie, toteż porównania lokalne są możliwe. Narracja naukowa przegrywa w wielu dyscyplinach: we wskazywaniu sensu życia, w uzasadnianiu wartości, w zapewnianiu psychicznego bezpieczeństwa – i wielu, wielu innych. Ale w kilku jest lepsza. Wygrywa w takich np. konkurencjach, jak: dostarczenie narzędzi do szybkiego zabicia (wyleczenia, nakarmienia, przesiedlenia itp.) miliona osób, produkcji najściślejszych prognoz, spraw-

dzalnych empirycznie wyjaśnień obserwowanych zjawisk itp. Nie twierdzi, że jest najlepsza we wszystkim. Nie mówi, że wie o zjawisku śmierci czy płci wszystko – albo wszystko to, co jest istotne. Wie tylko tyle, co da się intersubiektywnie zakomunikować i sprawdzić, a i tak jest przygotowana na to, że pewnie będzie zmuszona zmienić zdanie, przynajmniej w niektórych kwestiach. Baśń o szarej gęsi może z jakiegoś powodu jest równie dobra – dla ubarwienia wykładu anegdotą z pewnością lepsza – niż dostarczane przez naukę modele kosmologiczne, ale to te ostatnie pozwalają przewidzieć, że w określonym miejscu, określonym czasie będzie można zaobserwować przesunięcie obrazu odległej gwiazdy, ponieważ wysyłane przez nią światło ugnie się przechodząc w pobliżu Słońca. I rzeczywiście obraz się przesuwa. Nauce to wystarczy. Nie chce się ścigać we wszystkich konkurencjach, a o to konstruktywiści mają do niej pretensje. Putnam cierpko zauważa, że nauka potrafi znakomicie podważać odpowiedzi metafizyczne, ale nie umie ich zastąpić. Czemuż miałaby to robić?

Poza prezentowaniem różnic kulturowych, konstruktywista (grzesząc ciężko przeciw przykazaniu „Nie ucz ojca") wskazuje na konieczność konceptualizacji w badaniach naukowych – o której każdy obiektywista wie od dziecka – i powołuje się na tezę o niedookreśleniu teorii przez dane empiryczne, której świadom jest każdy, kto mając parę punktów pomiarowych łączy je linią, zdając sobie sprawę, że przez te punkty można przeprowadzić nieskończenie wiele linii. Obiektywista nie znajduje w książce Zybertowicza lepszych argumentów – niczego, czego by mu wcześniej Bacon nie powiedział, o Kancie nie wspominając; co więcej, poprzez deklaracje takie, jak:

> **KMP** stwierdza, że to, co postrzegamy jako rzeczywistość, konstytuowane (czy konstruowane) jest w ramach uregulowanych kulturowo praktyk społecznych, w tym poznawczych (s. 59), cała wiedza i rzeczywistość jest konstruowana przez gry kulturowe (s. 136),

zaczyna «przeświecać» rzeczywistość całkiem realna. Okazuje się, że „ciśnienie samej rzeczywistości", „presja faktów" (s. 60), „wiedza o naturze poznawanego przedmiotu" (s. 61) – nie są wystarczające; że czymś je tam kulturowym trzeba uzupełnić, żeby dostać przedmiot badania. Zaznaczałam pracowicie miejsca, gdzie wyraźnie słychać było skrzek realnej rzeczywistości, nie zauważywszy, że Zybertowicz asekurancko – mówiąc o rzeczywistości – posługuje się terminem **(współ)tworzona**. Wiedział, co robi. Na stronie 192 znajdujemy bowiem DRUGIE USTĘPSTWO konstruktywisty na rzecz tradycyjnej filozofii:

> Pewne całościowe obrazy świata czy pewne cząstkowe interpretacje rzeczywistości są lepsze od innych ze względów życiowych. Jedne z nich są bardziej skutecznymi narzędziami osiągania pewnych celów,[31] dawania sobie rady z problemami i zagrożeniami, od innych. Wszystko to zdaje się prowadzić do wniosku, że świat jednak jakiś jest [...], [że rzeczywistość] nie jest nieskończenie plastyczna (s. 192).

[31] No to co z tą szarą gęsią? Jest równie dobra? – uwaga moja, *EK*.

A jeszcze dalej czytamy już wyraźnie:

> Rzecz jasna, to, co postrzegamy jako przyrodę, nie jest **całkowicie** naszym wytworem. Konstruktywizm nie jest idealizmem, nie zakłada przeto kreacji *ex nihilo* [...]. Istnieje jakieś poza-kulturowe, określone jako «materialne» podłoże (s. 344).[32]

Dobrze to zresztą wróży rzeczywistości społecznej, bowiem «przyroda» jest w o wiele większym stopniu wytworem naszego myślenia niż społeczeństwo i jednostki" (s. 344). Wszystko wydaje się sprowadzać do sposobu mówienia: wedle Zybertowicza, obiektywista i konstruktywista zgodni są co do tego, kiedy przewidywania nauki są dobre – „gdy uzyskiwana jest regularna, powtarzalna kontrola nad pewnym zakresem zjawisk", ale jeden powie, gdy tak się zdarzy, że udało mu się „jakoś odwzorować właściwości świata", drugi, że udało mu się „temu, co postrzegamy jako świat, narzucić nasze koncepty" (s. 294). No cóż, co kto lubi, jeśli w *meritum* sprawy nie ma różnic ...

Dowiadujemy się też, że:

> obraz świata [...] musi spełniać trzy warunki:
> a) warunek koherencji;
> b) warunek consensusu;
> c) warunek minimalnej wrażliwości empirycznej (s. 193).

Żaden normalny obiektywista nie marzy o niczym więcej dla teorii naukowych i zastanawia się, **za co** nam tę konstruktywistyczną żabę zaserwowano?

6. OBIEKTYWIZM *À REBOURS*

Wydaje mi się, że rozumiem mechanizm prowadzący do takiej postawy, jaką prezentuje konstruktywista. Jest on, jak wspominałam, idealistą, romantykiem i maksymalistą. Od nauki wymaga bardzo wiele – wskazywałam, że nie tylko w płaszczyźnie poznawczej. Tego mniej więcej, czego wymaga wymyślony przez niego obiektywista, który jest *projekcją oczekiwań konstruktywisty*. Kiedy konstruktywista uświadamia sobie, że nauka nie spełnia tych oczekiwań, obraża się na nią.[33] A skoro obiektywista jest realistą, obiektywistą, redukcjonistą, empirycystą, scjentystą itp., on jest ANTY.

Nic dziwnego, że konstruktywistami są głównie humaniści. Filozofowie interesujący się naukami przyrodniczymi odkrywają krok po kroku czego się można, a czego nie można po nauce spodziewać. Żadnemu «normalnemu» obiektywiście do

---

[32] Jak więc jest z tym «znoszeniem dualności» wiedzy i jej przedmiotu, to już nie wiem. Jeśli kto lubi układanki, to dorzucę mu jeszcze jeden klocek: „Konstruktywizm ma charakter materialistyczny o tyle, o ile przyjmuje, że [...] manipulacje faktami wiążą się z kosztami" (s. 113).

[33] Zachowuje się trochę jak ten Polak z dowcipu, co to na Marszałkowskiej pobił Turka za to, że Turcy są winni śmierci Ludwika Jagiellończyka, a na uwagę, że to przecież było dawno, odpowiedział: „Tak, ale ja się dopiero teraz o tym dowiedziałem".

głowy by nie przyszło, że efekt badań naukowych jest rezultatem procesu, w którym powiązanie między poszczególnymi etapami ma charakter logicznego następstwa (s. 112). A konstruktywista «odkrywa», że tak nie jest – i triumfalnie to ogłasza. Chciałabym mieć tyle złotówek, na ilu stronach mówi się o *niemonotonicznych* wnioskowaniach w nauce, rozumowaniach przybliżonych, wnioskowaniach typu *as if*, momentach decyzyjnych – i wszystko to w odniesieniu do rozumowań, a co dopiero mówić o procesach badawczych w ogóle!

Śmieszy trochę, gdy autor z mocą twierdzi:

> z powodów zasadniczych nie możemy uzyskać pewności, iż osiągnęliśmy pojęciowy kamień filozoficzny; zbiór kategorii ujmujących kształt świata w jego najgłębszej, prawdziwej, kulturowo niezinterpretowanej naturze (s. 39).

Tyle, to wiedzieli już sceptycy; gdyby ktoś im nie wierzył, może poczytać choćby Bacona, który rozróżniał cztery rodzaje idoli *osaczających umysły ludzkie*:

> **Idole plemienne**. „Mają swe źródło w samej naturze ludzkiej, w samym plemieniu, czyli rodzie ludzkim. Fałszem bowiem jest twierdzenie, że zmysły ludzkie są miarą rzeczy. Przeciwnie, wszystkie percepcje, zarówno zmysłowe, jak i umysłowe, są dostosowane do człowieka, a nie do wszechświata."
> **Idole jaskini**. Powstają one „na skutek właściwej każdemu jednostkowej jego natury, bądź na skutek wychowania [...], bądź przez lekturę książek i autorytet osób [...], bądź przez różnicę wrażeń zależną od tego, czy występują one w umyśle uprzedzonym i predysponowanym, czy też w umyśle zrównoważonym i spokojnym".
> **Idole rynku**. „Wynikają [one] niejako z wzajemnej bliskości i obcowania rodzaju ludzkiego [...]. Ludzie bowiem obcują ze sobą przez rozmowy; wyrazy zaś dobiera się stosownie do tego, jak je pospólstwo pojmuje. Toteż zły i niezręczny dobór wyrazów w dziwny sposób krępuje rozum. [...] Słowa całkowicie zadają gwałt rozumowi, wszystko mącą i przywodzą ludzi do niezliczonych jałowych kontrowersji i wymysłów."
> **Idole teatru**. „Weszły [one] do umysłów ludzkich z rozmaitych doktryn filozoficznych, a także z przewrotnych prawideł dowodzenia [...]. Albowiem ile wynaleziono i przyjęto systemów filozoficznych, tyle naszym zdaniem stworzono i wystawiono sztuk, które przedstawiają urojone i dla sceny wymyślone światy ([1], s. 67, 68).

Czy konstruktywista potrafi coś do tego dodać?

> Te wnikliwe spostrzeżenia – piszę w [13] (s. 199) – nie skłoniły Bacona do uznania nieuchronności subiektywizmu czy relatywizmu w poznaniu, a tylko wzmogły jego ostrożność przy poszukiwaniu niezawodnej metody badawczej; zalecał „abyśmy po uwolnieniu nauki od trucizny wsączonej przez węża, którą umysł ludzki pyszni się i nadyma, nie starali się być mądrzejsi ponad miarę, lecz byśmy prawdę pielęgnowali w miłości [...]. [Nauk bowiem] nie należy szukać zarozumiale w komórkach ludzkiego umysłu, lecz pokornie w szerokim świecie ([1], s. 23, 24).

Filozofowie nauk przyrodniczych sporo rzeczy potrafili już przemyśleć, ułożyć, toteż irytuje ich nieco konstruktywista-neofita, wymachujący im przed oczami zardzewiałym straszakiem. Powiada np., że celem obiektywisty jest „określenie stosunku wyobrażeń do «rzeczywistości samej»" (s. 66). Oto co pisałam o takim przedsięwzięciu:

Trzeba by bowiem jakoś postrzegać zarówno tę jęzkową strukturę zwaną wiedzą i tę czystą, niezapośredniczoną przez nasze procesy poznawcze obiektywną rzeczywistość, żeby móc porównać jedno z drugim. Zobaczyć, czy przypięliśmy do rzeczy odpowiednie etykietki-słowa i czy związki między słowami właściwie oddają to, co dzieje się z rzeczami. Ale my tego przecież zrobić nie możemy. Jak mielibyśmy to zrobić? Czym? Wszystkie nasze moce poznawcze: zmysłowe, umysłowe, skupiliśmy na poznawaniu świata. Owocem tego wysiłku jest wiedza, jaką zdobyliśmy: sądy, twierdzenia, teorie, nauka. Przy pomocy czego więc, na miłość boską, mamy teraz uzyskać «ogląd» rzeczywistości takiej, jaką ona jest naprawdę, niezależnie od naszego jej poznawania? Jeśli znowu zaprzęgniemy do pracy nasz aparat poznawczy, *at our best*, to przecież wyprodukujemy duplikat naszej wiedzy. Nic innego! ([6] s. 282–3).

Konstruktywista by tego piękniej nie powiedział!

Zybertowicz wierzy Jamesowi, że „w naturze nie istnieje nic, co odpowiadałoby naszym słowom",[34] wierzy też Luhmannowi, gdy ten twierdzi: „Rzeczywistością jest to, czego nie postrzegamy, gdy to postrzegamy" (s. 96). Zręczne, nieprawdaż?[35] Kostki lodu, o które dopomina się Putnam, nie są rzeczywiste dla konstruktywisty – wszak je postrzegamy. Ja Jamesowi i Luhmannowi nie wierzę – wierzę nauce.[36]

Rzeczywistość *jako taka* – pisałam w [10] – której obraz wyłania się z rozwijanych obecnie w fizyce teorii, wydaje się być nieupostaciowana. Zgodnie z *hipotezą supersymetrii* charakteryzowałaby ją pewna symetria; lokalne łamanie tej symetrii byłoby odpowiedzialne za pojawianie się odpowiednich cząstek i oddziaływań. Sugeruje to swoistą «dyspozycyjność», przypadkowość, przygodność znanego nam świata z jego obiektami i zjawiskami: Wszechświat, który wyłonił się z chaosu «pierwszej sekundy» po Wielkim Wybuchu, nie jest konieczny. „Wierzymy – pisze Prigogine ([16], s. 6) – że *big bang* był zdarzeniem związanym z niestabilnością w medium, z którego powstał nasz wszechświat." Wolno przypuszczać, że początkowy, niestabilny stan miał możliwość realizacji wielu scenariuszy. To, że we Wszechświecie występują takie a nie inne cząstki materii czy oddziaływania, że przeważa w nim materia nad antymaterią, że preferowana jest określona skrętność, że stałe uniwersalne (np. masa elektronu) mają określoną wartość, wydaje się być skutkiem jakichś fluktuacji w niepojętej «materii pierwszej» sprzed pierwszej sekundy. Owa «materia pierwsza» jawi się zatem jako potencjalność, która w zależności od przypadkowych okoliczności może ujawniać różne postacie. [...] W trakcie ewolucji Wszechświata pojawiły się obszary niskiej energii (the range of low energies). „To jest dziedzina – pisze Prigogine ([16], s. 6) – fizyki makroskopowej, chemii i biologii. Dziedzina ludzkiej egzystencji." «Nasz» świat. [...]

Obraz dynamicznego, ewoluującego Wszechświata pozwala przyjąć, że wszystkie «warstwy» («przekroje», «poziomy», czy jakiej jeszcze metafory zechcemy użyć) rzeczywistości są równoprawne w istnieniu, równie realne. Istnieją więc kostki lodu i tworzące je cząsteczki wody, atomy tlenu i wodoru. Istnieją wszystkie te warstwy, w których wyodrębniają się zjawiska, związane z nimi obiekty i prawa. Są więc pewne fakty do wykrycia, istnieje możliwość konfrontowania z nimi naszej wiedzy; jest więc miejsce na klasycznie pojmowaną prawdę [12].

---

[34] Muszą mieć niezły «wgląd» w tę naturę, żeby tak kategorycznie twierdzić!

[35] „Bawił ją tak z galanterią, na w pół żartem, na wpół serio."

[36] Mogę sobie na to pozwolić i to jest moja przewaga, której słusznie może mi pozazdrościć konstruktywista.

Zauważmy, że tu jeszcze nie ma mowy o kulturze, nawet o biologii, ale i to mieści się w pojęciu «naszego świata».

> Pierwszym krokiem tej artykulacji jest okoliczność, że jesteśmy obiektami fizycznymi umiejscowionymi gdzieś na skalach wielkości, złożoności, energii [...]. Fakt ten ustala odpowiedni «poziom» rzeczywistości, na którym mogą się ujawnić odpowiednie obiekty i zjawiska: fale elektromagnetyczne, związki chemiczne, organizmy itp. Dalszym krokiem jest nasze wyposażenie biologiczne; świat wypełnia się barwami, zapachami, kształtami. Życie społeczne, działalność praktyczna, nauka, kultura wyposażają go dodatkowo w przedmioty, zjawiska, a ponadto w sensy i wartości ([8], s. 88).

Na pytanie: czy i – ewentualnie – jak możliwa jest obiektywna wiedza o tym świecie, nie mogę tu odpowiedzieć.[37] I tak już – nieskromnie – przytoczyłam zbyt wiele fragmentów swoich prac. Ale jak inaczej może obiektywista dyskutować z konstruktywistą, skoro ten czyta tylko konstruktywistów? Specjalizacja – zmora naszych czasów.

KONKLUZJE

Chociaż może to zaskoczyć czytelnika niniejszych uwag, do książki Zybertowicza wracać będę pewnie nie raz jeszcze. Mam nadzieję nauczyć się czegoś o rzeczywistości społecznej. Zdaję sobie sprawę z tego, że istnieją różnice w możliwościach manipulowania rzeczywistością przyrodniczą i społeczną. W książce Zybertowicza jest wiele interesujących uwag na ten temat. Ale proponowany przez Zybertowicza model poznania nie może być z powodzeniem stosowany przy opisie nauk przyrodniczych.

Model Zybertowicza nie wydaje mi się spójny: ten inny, który nie całkiem jest inny; to tworzenie, które okazuje się bardziej konceptualizacją; ta prawda, która jest niezbędna, by konstruktywista nie zginął w „niekończących się pętlach refleksyjności". Pozostawia bez odpowiedzi wiele pytań. Nie wyjaśnia sukcesów nauki – ani poznawczego, ani technologicznego. Nie daje możliwości jakiegokolwiek «zakotwiczenia». „Nie sposób ujść z pułapki etnocentrycyzmu rozumianego jako przekonanie, że **musimy** rozpocząć od miejsca, w którym **my** jesteśmy" (s. 357) – stwierdza Zybertowicz. Żadne miejsce, żadne «my» nie jest wyróżnione; każde jest przypadkowe.

O ileż łatwiej jest takiemu «naturalistycznemu» obiektywiście, jak ja, dla którego „poznanie" jest ludzką formą „rozpoznawania" świata, funkcji powszechnej wśród organizmów, nawet roślinnych. Możemy mu w dużej mierze zaufać, ponieważ wywodzimy się z gatunku niegłupich małp:

> „Małpa nie postrzegająca dość realistycznie gałęzi, na którą skakała, była w krótkim czasie małpą martwą" – przytacza Ditfurth żartobliwą uwagę George'a Gaylorda Simpsona i dodaje – a co za tym idzie, nie należy do praprzodków istniejących dzisiaj naczelnych ([2], s. 427).

Już ameba rozpoznaje nasłonecznione obszary, nie czekając, aż przyjdzie Zybertowiczowy Pan Określoności, żeby i ją, i Słońce powołać do istnienia. Kury mają

[37] Pisałam o tym ostatnio w [11], [12],[13].

hierarchię dziobania, wrony ostrzegają stado przed niebezpieczeństwem, szczury uczą młode omijania pułapek – nasz język, nasze poznanie, nasza kultura stąd się wywodzą. Ogranicza to znacznie tę kłopotliwą dowolność, z którą nie może się uporać konstruktywista.

BIBLIOGRAFIA

[1] F. Bacon, *Novum organum*, PWN, Warszawa 1955.

[2] H. von Ditfurth, *Duch nie spadł z nieba*, PIW, Warszawa 1989.

[3] H. Eilstein, Głos w dyskusji, [w:] *Filozoficzne i naukowo-przyrodnicze elementy obrazu świata*, A. Latawiec, A. Lemańska (red.), Wyd. ATK, Warszawa 1998, s. 13–22.

[4] H. Eilstein, „Uwagi o granicach potencji poznawczej", [w:] *Podmiot poznania w perspektywie nauki i filozofii*, E. Kałuszyńska (red.), Wyd. IFiS PAN, Warszawa 1998.

[5] E. Kałuszyńska, „Sądy i wartości logiczne", *Studia Filozoficzne* 4/1989, s. 133–138.

[6] E. Kałuszyńska, „Antyreprezentacjonizm", wprowadzenie do dyskusji oraz autoryzowany głos w dyskusji, *Bruliony Filozoficzne* 4/1995.

[7] E. Kałuszyńska, „Semantyczne badania prawdziwości teorii empirycznych", *Zagadnienia Naukoznawstwa* 4/1996, s. 473–484.

[8] E. Kałuszyńska, „O modelach bez reprezentowania", oraz autoryzowany udział w dyskusji, *Studia Philosophiae Christianae* 1/1997, s. 87–91, 98–106.

[9] E. Kałuszyńska, „Dwa pojęcia prawdziwości" (w druku).

[10] E. Kałuszyńska, „Jedność przyrody, wielość zjawisk", [w:] *Jedność nauki – jedność świata?*, M. Heller, J. Urbaniec (red.) OBI (Biblos), Tarnów 1999 (w druku).

[11] E. Kałuszyńska, „One more face of realism" (referat wygłoszony na konferencji *American Neopragmatism*, Toruń, wrzesień 1998); ukaże się w materiałach z konferencji.

[12] E. Kałuszyńska, „Putnamowski realizm naiwny" (w przygotowaniu).

[13] E. Kałuszyńska, „Pochwała niedoskonałości", [w:] *Podmiot poznania w perspektywie nauki i filozofii*, E. Kałuszyńska (red.), Wyd. IFiS PAN, Warszawa 1998.

[14] E. Kałuszyńska, „Wprowadzenie do dyskusji", na spotkaniu o pojmowaniu filozofii przez Wittgensteina, czerwiec 1998.

[15] R. Kapuściński, „W cieniu drzewa w Afryce", fragment powieści *Heban*, drukowany w: *Gazecie Wyborczej* z 10–11 października 1998, s. 10–12.

[16] I.I. Prigogine, *The End of Certainty*, The Free Press, New York, London, Toronto, Sydney, Singapore 1997.

[17] P. Winch, „Rozumienie społeczeństwa pierwotnego", [w:] *Racjonalność i styl myślenia*, E. Mokrzycki (red.), Wyd. IFiS PAN, Warszawa 1992, s. 242–294.